

Z archiwum Ursuvianów

Ursusianka i Ursusiak jadą na kolonie – część 1

(Krzeszów. Zagórze Śląskie, Szarocin)

Oczywiście, nie te zamorskie, gdzieś w Afryce, Ameryce, a w Polsce. Kolonie, bo tak nazywano kiedyś jedną z form zorganizowanego wypoczynku dla dzieci i młodzieży, mającą m.in. zapewnić korzyści zdrowotne, podnieść wytrzymałość i ogólną kondycję fizyczną młodych ludzi, były organizowane jeszcze w XIX wieku. W okresie międzywojennym (1918-1939) potrzebę organizacji letniego wypoczynku dla dzieci pracowników zaczęły dostrzegać, głównie pod naciskiem związków zawodowych, również dyrekcje dużych zakładów przemysłowych. Organizując je we własnym zakresie lub sponsorując organizatorów. M. in. PZInż. Ursus pod koniec lat 30-tych XX wieku dotował letnie wyjazdy harcerzy ze Szkoły Powszechnej w ówczesnych Czechowicach. Największy jednak rozkwit kolonii nastąpił po II wojnie światowej. Od roku 1946 dużymi organizatorami kolonii były zakłady pracy oraz Związek Harcerstwa Polskiego.



Również po II wojnie Zakłady Mechaniczne „Ursus” zaczęły organizować dla dzieci pracowników kolonie letnie w różnych miejscowościach Polski, zarówno nad morzem, w górach, jak i na mazowieckich nizinach wśród sosnowych lasów. Organizacja, szczególnie letniego wypoczynku dla dzieci była przez odpowiednie służby socjalne zakładów traktowana bardzo poważnie. Starano się nie tylko zapewnić odpowiednie warunki noclegowe, wyżywienie, ale i ciekawy program zajęć, wycieczek, często różnorodny i

dostosowany dla różnych grup wiekowych. Dobierano odpowiednią kadrę wychowawców, kierownictwo, które miało zadbać o tzw. całokształt wyjazdów. Mówiąc krótko: dzieci miały wypocząć i wrócić w pełni zadowolone, pełne miłych wrażeń. Poczuć czas wakacji i bez troski.

Aż trudno uwierzyć, ale pierwsze kolonie, na które wyjechały Ursusianki i Ursusiacy zorganizowano zaledwie w cztery lata po wojnie, w maju 1949 roku w Popowie koło Serocka. W sumie na pierwszym dwutygodniowym turnusie przebywała grupa 63 dzieci w wieku od 3 do 7 lat.¹ Dzisiaj to raczej nie do pomyślenia, aby wysyłać tak małe dzieci, ale wtedy były to często grupy z przedszkola zakładowego, gdzie dzieci się znały i dobrze czuły w swoim gronie

¹ Gazeta Ludowa nr 118 z 3 maja 1949 roku, art. „Świeże powietrze, słońce i ruch”.

wraz z wychowawczyniami. Niekiedy, kadre wychowawczą w Popowie uzupełniali sami rodzice. Z czasem jednak zrezygnowano z wysyłania dzieci w wieku przedszkolnym. Ich miejsce zajęli uczniowie od klasy I do VII, już na trzytygodniowych turnusach.



Dom kolonijny ZM Ursus w Popowie k/Serocka - 1954, źródło: Głos Ursusa

W miarę rozbudowy zakładów „Ursus” przybywało pracowników. Wraz z rodzinami przybywało dzieci, którym należało zapewnić letni wypoczynek. Ośrodek kolonijny w Popowie, mimo rozbudowy o dodatkowe drewniane werandy, nie był w stanie przyjąć więcej niż 100 dzieci w jednym letnim trzytygodniowym turnusie. W sumie w ciągu wakacji z ośrodka mogło skorzystać ponad 300 dzieci², co było kroplą w morzu potrzeb. Tylko w samym 1952 roku chętnych na wypoczynek na koloniach było ponad 800 dzieci. Koniecznym stało się poszukiwanie miejsc na nowe ośrodki kolonijne, a zarazem nadające się przed i po sezonie letnim na wypoczynek dla pracowników z rodzinami czy organizację wczasów zdrowotnych dla pracowników pracujących w ciężkich warunkach (odlewnia, kuźnia). Najlepiej w atrakcyjnych klimatycznie miejscowościach posiadających obok dobrego powietrza także wody mineralne, lecznicze i np. borowiny nadające się do zabiegów leczniczych. Znalezienie takich w tamtym

² W 1950 roku była to już grupa 605 dzieci – źródło: „Nowe Drogi” : czasopismo społeczno-polityczne, 1950.01-02 nr 1, art. Eugenia Krzeczowska „Ursus” w walce o mobilizację rezerw wewnętrznych, podrozdział: O poprawę warunków pracy i podniesienie kwalifikacji robotników

okresie, w kraju, w którym był ciągle w odbudowie po II wojnie światowej, nie było łatwym zadaniem.

Z pewną pomocą w poszukiwaniach nowej, dodatkowej „bazy” wypoczynkowej i kolonijnej przyszły rozpoczęte zmiany w ustawach i regulacjach dotyczących ochrony zabytków architektury w latach 50-tych. Powoli zdejmowały z gmin wiejskich część obowiązków zagospodarowania i dbania o stare dworki, pałace na swoim terenie. Znaczna część gmin, szczególnie na ziemiach odzyskanych (Dolny Śląsk, Mazury) nie była w stanie zagospodarować wielu obiektów na własne cele (szkoły, ośrodki pomocy, itd.). Część odstąpiła w dzierżawę Państwowym Gospodarstwu Rolnym, które miały zapobiec dalszej dewastacji obiektów zabytkowych. Mimo wielu starań władz gminnych, powiatowych tylko część udało się, jako tako, na ogół niewielkim kosztem, zagospodarować i tym samym, choć częściowo zapobiec dalszej dewastacji. Ponad połowa z obiektów zabytkowych nie doczekała lepszych czasów i dalej popadała w ruinę. Zapoczątkowane zmiany w regulacjach dotyczących ochrony budynków zabytkowych pozwoliły gminom na poszukiwanie inwestorów-dzierżawców głównie wśród bogatych zakładów przemysłowych. Sporo propozycji i zaproszeń od gmin spływało także do ZM „Ursus” w latach 1953-59.³ Wiele z propozycji zostało zbadanych i kwalifikowanych do ewentualnego wykorzystania na ośrodki kolonijny czy wczasowy dzięki udziałowi w pracach działającego na terenie zakładów koła terenowego Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich (TRZZ)⁴, które w ramach wycieczek zakładowych zwiedzało ziemie zachodnie. „Przy okazji” rozpoznając ew. obiekty nadające się pod przyszłe ośrodki



kolonijne, wczasowe. Niestety, większość z nich była już po wojnie zniszczona, rozgrabiona. Często budynki były tylko w postaci jedynie gołych murów.

³ Głos Ursusa nr 2 ze stycznia 1958 roku, art. „Społeczeństwo Mazurskie liczy na załogę „Ursusa”.

⁴ Towarzystwo Rozwoju Ziem Zachodnich od 1957 roku przejęło część zadań w popularyzacji ruchu turystycznego na Ziemach Zachodnich od Ministerstwa Ziem Odzyskanych, Zachodniej Agencji Prasowej i Polskiego Związku Zachodniego, które w latach 1948-1957 prowadziły propagandę turystyczną regionów.

Wszystko, co przedstawiało jakąś wartość (rury, instalacje elektryczne, sanitarne, itd.) było skrupulatnie wymontowane i odsprzedawane przez spekulantów.

Podczas jednego z takich objazdów członków Koła TRZZ w 1956 roku odkryło na pięknej ziemi powiatu kamiennogórskiego dwa obiekty w miarę mało zdewastowane, nadające się do remontu i szybkiego przystosowania na ośrodki kolonijne, mogące przyjąć do 100 osób i co ważne z pełnym zapleczem kuchennym. Jeden z nich znajdował się w Krzeszowie, a drugi w Zagórzcu Śląskim. Najmniej kosztów remontu wymagał budynek w Krzeszowie, który był niemieckim pensjonatem z restauracją pod nazwą Willa Betlejem. Otoczony świerkowo-modrzewiowym lasem pełnym jagód, malin, jeżyn idealnie spełniał warunki mini stacji klimatycznej dla dzieci z zadymionego Ursusa. Oddalony od pobliskiego miasta o 2 km, nieco na uboczu zapewniał ciszę, spokój i co najważniejsze bezpieczeństwo.



W sumie na turnusie mogło jednocześnie przebywać 80-90 dzieci. Jako, że budynek był pierwotnie pensjonatem z dużymi salami restauracyjnymi i tanecznymi, to sale dla kolonistów były pewną ciekawostką. Dziewczynki miały sypialnie mogące pomieścić 10-15 osób, natomiast chłopcy byli „zakwaterowani” w iście wojskowy sposób. W dużej balowej sali mieściło się aż 70 łóżek, niczym w wojskowej sypialni. Aby utrzymać porządek w takiej sali potrzebny był nieco wojskowy rygor. Nie wszystkim chłopcom to pasowało, ale po kilku dniach, nawet największym oportunistom wojskowego drylu zabawa w „wojsko” nawet się spodobała. Za jadalnię służyła dawna sala restauracyjna. Największą atrakcją

miejsca był letni pawilon na palach pośrodku niewielkiego sztucznego zbiornika wody. Wówczas mało kto wiedział, że była to prawdziwa perła miejsca⁵ i widziano raczej inne wykorzystanie pawilonu. Podobnie jak i samego zbiornika wodnego, który planowano zamienić w basen dla kolonistów, w którym mogliby zażywać zdrowotnych kąpieli. Wśród pomysłów, których na szczęście nie udało się zrealizować był plan postawienia obok willi stylowego drewnianego baraku i tym samym powiększenia bazy noclegowej o dodatkowe 100 miejsc. Do realizacji pomysłu jednak nie doszło, co po części zadecydowało, że obiekt kolonijny w Krzeszowie niedługo służył kolonistom z Ursusa, gdyż był za mały i szukano w kolejnych latach większego budynku, zabudowań nadających się na ośrodek.



Kolonie ZM Ursus w Krzeszowie w 1959 roku, ze zbiorów prywatnych - Wojciech Stanaszek

Drugim znalezionym przez członków Koła TRZZ obiektem był również dawny niemiecki pensjonat w Zagórzcu Śląskim powstały na bazie starego młyna na rzece Bystrzyca. Położony w pięknej dolinie, której strzegł zamek Grodno na górze Choina. Budynek był duży, dwupiętrowy z kilkunastoma pokojami, pełnym węzłem sanitarnym i kuchennym. Wymagał jednak niewielkiego remontu, którego dokonała brygada budowlana oddelegowana z zakładów Ursusie wiosną 1957 roku. Atrakcją miejsca było nie tylko położenie budynku, dobry dojazd, ale i pobliski zalew z przystaniami wypożyczającymi kajaki i stworzonymi na nim letnimi basenami. Jeszcze przed I wojną światową miejsce zasłynęło, jako ośrodek wypoczynkowy.

⁵ Letni pawilon na wodzie w kompleksie Willi Betlejem w Krzeszowie. Pawilon był pierwotnie przeznaczony, jako miejsce modlitwy i kontemplacji opata. Został umiejscowiony na źródle wody, bogatej w związki siarczanu. Jej zdrowotnych właściwości cystersi byli świadomi. Pawilon został ufundowany przez opata Innocentego Fritscha w połowie 1732. Źródło: <https://opactwo.eu/pomnik-historii/odkrywaj/obiekty/letni-pawilon-na-wodzie-w-betlejem/>



Zagórze Śląskie, były dom kolonijny ZM Ursus, stan 2021 r

Otoczony bogatymi w mieszany liściasto-iglasty drzewostan rosnący na zboczach górskich miał swój specyficzny mikroklimat. Dobry dojazd, a pobliski zalew bogaty w ryby i urządzenia do rekreacji gwarantował wykorzystanie obiektu nie tylko podczas letniego sezonu.

Pierwszy turnus kolonistów z Ursusa trafił do Zagórza pod koniec czerwca 1957 roku. Były to pierwsze kolonie w „nowym stylu”, gdzie program pobytu był



Głos Ursusa 1957

wypełniony po brzegi wieloma atrakcjami dla dzieci. Starannie dobrany personel wychowawczy, gdzie wychowawcy obok umiejętności pedagogicznych specjalizowali się w nauce muzyki, śpiewu, sporcie, turystyce czy nawet fotografice, gwarantował różnorodność zajęć. Dość szybko spośród dzieci udało się stworzyć mini kapelę złożoną z akordeonu, ustnych harmonijek, werbla, która podczas wieczornych ognisk umilała muzyką i śpiewem czas. Powstał także niewielki chór i zespół taneczny. Odbywały się pokazy

gimnastyczne, a wszystko skrzętnie rejestrowali aparatami fotograficznymi miłośnicy kolonijnego kółka fotograficznego wystawiający swoje prace na kolonijnych fotogazetkach. Podczas kolonii młodzi fotograficy naświetlili ponad

130 filmów i wykonali ponad 1000 pozytywów.⁶ Wielu młodych ludzi podczas zajęć na basenie na pobliskim zalewie nauczyło się pływać, a wielu udoskonało swoje umiejętności pływania i nurkowania. Uczestnicy poznawali zasady wędrówek po górach podczas licznych pogadek z miejscowymi przewodnikami, a później już w terenie.

Nie wszystko jednak szło składnie i ładnie. Ursusiacy nie do końca byli potulnymi kolonistami. Czasami lubili trochę pobałaganić. Wizytująca kolonię pracownica działu socjalnego zapisała w swoim raporcie: *„W niektórych chłopcach wyzwoliły się instynkty łobuzerskie. Już na początku turnusu jeden z chłopców złamał rękę i przez cały czas kolonii miał ją właściwie na temblaku. Inny został uderzony w brzuch, że cały czas przeleżał w kolonijnym szpitaliku. Nie było dnia, aby pielęgniarka nie opatrywała stłuczeń czy drobnych pokaleczeń. Nagannym był bunt grupy starszych chłopców, którzy po godzinie 22 wyszli samowolnie poza teren ośrodka na tzw. łobuzerkę. Jednak poza tymi incydentami, można stwierdzić, że kolonia należała do wzorowych”.*



Jak widać Ursusiacy do pokornych raczej nie należeli w tamtym czasie, ale podobne obrazki, zdarzenia bywały także na koloniach i w kolejnych latach. Po latach we wspomnieniach z kolonii ówcześni koloniści stwierdzali, że to był

⁶ Gazeta zakładowa ZM Ursus – Głos Ursusa z 1957 roku, art. „Jak było na kolonii letniej w Zagórze Śląskim”.

pewien ursuski „sznyt”. Może czasami głupi i młodzieńczy, ale trzeba było czymś wyróżnić się w dużej grupie.



Budowa tamy na Bystrzycy AI - Zbyszek Zarzycki -2026
Kolonie letnie - Zagórze Śląskie 1958 - Głos Ursus 1958

Znakomitym uzupełnieniem zachowanych fotografii może być list kolonistów z kolonii z Zagórza zamieszczony na łamach gazety zakładowej „Głos Ursusa” w 1958 roku. Może czasami trochę ubarwiony i trochę przez to nie do końca wiarygodny, ale przecież nie tylko o prawdę w nim chodziło. Miał zachęcać rodziców do wysyłania swoich pociec na dalekie kolonie, a i samym przyszłym kolonistom stwarzać „apetyt” na wyjazd w nieznane bez rodziców. „Urwania się” spod ich opiekuńczego wzroku i poczucia się wolnym wśród rówieśników.

Mamy „dusze w puchu” – nie martwcie się o nas!

Kochani rodzice i opiekunowie!

Najgorsze już za nami – jesteśmy na miejscu w Zagórze Śląskim. Na podróż pociągiem nie narzekamy, bo wszystkie trudy z nią związane okazały się przyjemnie. Do najprzykrzejszych należały chwile, gdy pani doktor załatwiała formalności z wyglądem czystości głów i ogólnej czystości ciała. W trakcie zajmowania miejsc w samochodach, co odwoziły na dworzec Główny, każdy chciał być pierwszy przy oknie, były przepychanki, ale co tam. Gdy samochody ruszyły i mamusie zaczęły nam machać chusteczkami niejednen z nas posmutniał, ale na krótko. Gdy za pierwszym zakrętem zniknęły nam z oczu mury fabryki w

Ursusie otrząsnęliśmy się ze smutku i zaczęły nas cieszyć myśli o nowych przygodach w nieznanych stronach. Przez Warszawę, mimo nieoczekiwanych wstrząsów na bruku warszawskich ulic jechało się nam całkiem wesoło. Było trochę zamieszania na dworcu kolejowym, bo znowu znaleźli się amatorzy najlepszych miejsc koło okna w wagonach, ale wychowawcy dali radę, zresztą z naszą pomocą. Zwyciężyło poczucie porządku nakazujące wysłuchać wskazówek wychowawców i kierowników i poddać się dyscyplinie kolonijnej. Zrozumieliśmy, że nie można rzucać się w jednej chwili do wagonów, lecz trzeba do nich wchodzić pojedynczo, spokojnie zgodnie z zaleceniem kierownika pociągu.



Wkrótce puste żołądki zaczęły dopominać się o swoje. Dzięki staraniu naszego kierownictwa otrzymaliśmy ciepłą kawę ułatwiającą nam przełknięcie zapasów zabranych z domów.

Nasi wychowawcy zwrócili nam kilkakrotnie uwagę na rozlaną kawę, ale wytłumaczyliśmy im, że nie ponosimy za to całkowitej winy, gdyż maszynista pociągu brał zbyt ostre zakręty i mieliśmy kłopoty z ciasnymi szybkami od butelek.

Na apetyt nikt z nas nie mógł narzekać tym bardziej, że wytrzęsło nas porządnie w samochodach. Po zaspokojeniu wilczego apetytu było nam tak dobrze, jakbyśmy mieli „dusze w puchu”. Nie było bieganiny po wagonach, nie było tłoku przy kotle z kawą.

Nazajutrz, po nie wiadomo, kiedy przespanej nocy poczęliśmy się nasycać widokiem mijanych okolic. Okna wagonów wydawały się nam za ciasne, bo każdy chciał przez nie wyglądać. I znowu zasłużyliśmy na cierpkie uwagi od kierownika wagonu, że nie zachowujemy należytej ostrożności i za szeroko otwieramy okna.

Oczywiście nasi wychowawcy wyolbrzymiali niebezpieczeństwo, ale tak po cichu, to każdy z nas przyznawał im rację.



Kolonie ZM Ursus w Zagórze - 1958,

ze zbioru Krystyny Skolniak



Apel poranny

Kolonie letnie - Zagórze Śląskie 1958 - Głos Ursus 1958

Podróż dobiegła końca i koło południa zasiedliśmy do pierwszego obiadu w Zagórze. Bardzo smacznego, co zapowiadało, że pobyt w Zagórze będzie równie smaczny i obfity w przygody przez cały czas kolonii.

Każdy dzień przynosił nam coś nowego w postaci ciekawych wycieczek do Karpacza, Jeleniej Góry, Bierutowic, Cieplic, Gór Stołowych i Sowich. Długo o nich będziemy pamiętać, bo były dla nas odkrywaniem

pięknych widoków. Również okoliczne miejscowości były bardzo ciekawe i skrywające wiele tajemnic, a o każdej chcieliśmy się dowiedzieć pierwsi.

A w ogóle kochani Rodzice, bądźcie o nas spokojni, bo mamy, co jeść i to jeść bardzo dobrze. Możemy prosić o „dokładki”, o ile kto chce. Czas płynie nam szybko i przyjemnie. Początkowo niezadowoleni byli tylko niektórzy chłopcy

chcący szukać przygód na własną rękę. Po tygodniu, podobnie jak wszyscy, przyzwyczaili się do regulaminu kolonijnego.

Spacery i zabawy odbywają się grupowo pod okiem wychowawców. Do nieosiągalnych marzeń należy wyprawa nad jezioro i pływanie po nim kajakiem. Szkoda, że nie możemy sami i kiedy chcemy. Mimo, że nasze okolice były zagrożone (stan powodziowy)⁷ i miejscowe władze miały pewne zastrzeżenia odnośnie naszego pobytu tutaj – to jednak wizytatorzy Wydziału Zdrowia stwierdzili, że stan sanitarny kolonii jest bardzo dobry. Izolatki są puste i nikt nie ma zamiaru chorować. Mimo, że regulamin czasami doskwiera, to czujemy się swobodni. Zarówno podczas wycieczek, jak i zabaw w terenie czy na świetlicy. Pogoda przeważnie nam dopisuje, choć deszcz psuje wiele planów na wycieczki, ale za to w świetlicy jest co robić.

Jesteśmy naprawdę zadowoleni z kolonii w Zagórzcu Śląskim.

Przesyłamy serdeczne pozdrowienia każdej mamusi i każdemu tatusiowi.

Dzieci z kolonii ZM Ursus w Zagórzcu Śląskim.⁸



Niewątpliwie widać pomocną dłoń wychowawców przy pisaniu przez dzieci tego listu, ale momentami głos dzieci był bardziej donośny, choć zapewne „cenzura” część śmiałych wypowiedzi usunęła. Część z nich, tych ocenianych,

⁷ W 1958 roku województwo wrocławskie nawiedziły lata obfite deszcze. M. in. wezbrała rzeka Bóbr i spowodowała liczne podtopienia. Również rzeka Bystrzyca była w górnych stanach alarmowych. Do problemów z wodą doszła także epidemia zakaźnej choroby - Czerwonki pośrednio wynikała z zanieczyszczeń wody w okolicznych rzekach. Teren okolic Wlenia został zamknięty, a część mieszkańców ewakuowano. Źródło: Dziennik Zachodni z 9 lipca 1958 roku.

⁸ Gazeta zakładowa ZM Ursus – Głos Ursusa wydanie z lipca 1958 roku

opowiedzieli sami uczestnicy kolonii z tamtych lat wiele, wiele lat później w swoich wypowiedziach wspominkowych na forach społecznościowych.

Rokrocznie od 1957 roku na kolonie organizowane przez ZM Ursus wyjeżdżało



ok. 730 dzieci w wieku szkolnym, przeważnie w dwóch turnusach letnich (podczas jednego turnusu Krzeszów – 103, Zagórze 134, Popowo 130). Potrzeby zabezpieczenia letniego wypoczynku dla dzieci były jednak znacznie większe niż możliwości zakładowych ośrodków. Przed sezonem do działów socjalnych wpływało blisko 1000 zgłoszeń od pracowników, chcących zapewnić swoim dzieciom kolonie. Tym dzieciom, których nie udało się wysłać do ośrodków kolonijnych zakłady finansowały kolonie u innych organizatorów letniego wypoczynku. M. in. w ZHP. Zorganizowano również dla dzieci tzw. półkolonie w przedszkolu fabrycznym dla ponad 120 dzieci. Warto wspomnieć, że z ośrodka w Zagórzcu skorzystali także ursuscy harcerze organizując przy wsparciu ZM Ursus bodajże pierwsze swoje zimowisko 1957/58 po II wojnie światowej.⁹

⁹ Na zimowisko w terminie od 26 grudnia 1957 do 5 stycznia 1958 r. wyjechało 82 uczestników i 10 osób komendy. Komendantem zimowiska został Andrzej Pokrzywa, obożną dziewcząt – Kazimiera Kwiatkowska, harcerka spoza Ursusa, obożnym chłopców – Ryszard Orłowski. KPH reprezentowali państwo Karasiowie,

Dwa lata później w sierpniu 1960 roku tereny kolonii w Zagórze i Krzeszowie odwiedził reporter „Głosu Ursusa”. Oto niektóre z jego zapisków ukazujące, że Zagórze utrzymało status najlepszej kolonii, szczególnie w zapewnieniu dzieciom bogatego programu pobytu, jak także w wyszukiwaniu talentów artystycznych.

„Jak przedstawia się typowy, codzienny program zajęć? Dzieci wstają o 7 rano i wychodzą przed budynek na poranną gimnastykę. Nie wszystkie są chętne i jak nie chcą to mogą sobie te 15-20 minut podrzemać, bo tyle zajmuje gimnastyka. Trudno dłużej, bo kolejne pół godziny to czas na mycie, ścielenie łóżek i wyjście na poranny apel. Podczas ogólnego spotkania na placu apelowym wszystkich uczestników przekazywane są ogólne informacje i plan zajęć na dany dzień. Po apelu pora na poranne śniadanie, w którym dominują potrawy mleczne. Uzupełnieniem są bułki z masłem, dżemem, żółtym serem. Po śniadaniu dzieci idą na górskie wycieczki czy do okolicznych lasów pełnych malin, jagód. Część z dzieci idzie na pobliską pływalnię na zalewie.



Brodniewiczowie, pani Józiakowa i phm. J. Wetzlich. Pomagali oni i opiekowali się całą gromadą, ponieważ kadra też nie należała do bardzo dorosłych. Panie pracowały w kuchni i opiekowały się dziewczętami, panowie pilnowali chłopców i pomagali w zajęciach programowych. Źródło: Wydawnictwo – Harcerstwo w warszawskim Ursusie w latach 1933-70, praca zbiorowa, Warszawa 2023, zbiory MBC.

O 13 pora obiadu. Są smaczne i pełnokaloryczne i złożone z 3 dań (zupa, drugie danie, deser). Praktycznie każdego dnia pojawia się w drugim daniu mięso.

Mocną stroną bogatego programu pobytu jest szeroka działalność na niwie kulturalnej i rozrywkowej. Dzięki wychowawcy, koledze Jerzemu Krupniewskiemu ośrodek kolonijny ma własny zespół muzyczny złożony z muzyków-kolonistów. Ciekawe jest instrumentarium kolonijnej kapeli składającego się: akordeonu, werbla, trąbki sygnałowej, butelki bez dna i tajemniczego pudełeczka z kamyczkami spełniającego rolę marakasów (grzechotek taktowych). Orkiestra ma pełne ręce roboty, szczególnie po kolacji, kiedy to przygrywa do tańca podczas wspólnych ognisk czy okazjonalnych wieczorów towarzyskich. Zespół zyskał sobie wiele sympatii i jest mile widziany i słuchany, także podczas swoich „tourne” na sąsiednie kolonie w okolicy.

Podobną popularnością i sympatią nie tylko naszych ursuskich kolonistów, cieszy się zespół wokarno-taneczny. Dosłownie w tydzień po przyjeździe opracował i

Pamiętka z Krzeszowa



Nawiązując do reportażu zamieszczonego niedawno o koloniach letnich w Zagórz, Śląskim i Krzeszowie — zamieszczamy zdjęcie posiadające dla uczestników kolonii w Krzeszowie wartość pamiątki.

Przedstawia ono dzieci występujące w części artystycznej uroczystości, jaka się odbyła w Zakładach „FAMAL” w Kamiennej Górze.

przećwiczył program składający z kilku tańców i pieśni ludowych. Są i współczesne szlagiery jak – „Czerwona czapeczka” Jerzego Połomskiego czy „Warszawa da się lubić”, którą często można usłyszeć w radiu w wykonaniu Macieja Koleśnika.

Z myślą o tych, którzy nie mogą wyzwolić się spod uroku książki z pomocą biblioteki zakładowej w ZM Ursus otwarto filię na terenie ośrodka. Można w niej znaleźć ponad 200 tytułów ciekawej dziecięcej i młodzieżowej literatury.

Krzeszów nie gorszy

W powiecie Kamienna Góra znajduje się nasz drugi ośrodek kolonijny. W Krzeszowie przebywa na koloniach 113 dzieci w wieku od 10 do 12 lat, w tym 55 dziewcząt. Personel wraz z lekarzem i pielęgniarką składa się z 8 osób. Kierownikiem kolonii jest po raz siódmy Waław Łożyński – dyr. zespołu szkół z Piastowa. Program pobytu nie różni się zbytnio od tego w Zagórze. Może tylko częściej są robione wycieczki. M. in do Strażnicy WOP.¹⁰ Ta ostatnia szczególnie zacięwała chłopców, którzy z zapartym tchem wysłuchali pogadanki żołnierzy o trudnej pracy i służbie żołnierzy na granicy.

Dużym zainteresowaniem dzieci cieszą się liczne zajęcia sportowe. Niejako ich kulminacją i podsumowaniem była spartakiada kolonijna.

Nie zapomniano o dzieciach również kino objazdowe, które co tydzień organizowało specjalne seanse w świetlicy. Natomiast kolonistów w Zagórze odwiedził teatr z Wrocławia z bajką – Pan Twardowski. Jako ciekawostkę warto dodać, że w Zakładach „Famal” w Kamiennej Górze część artystyczną miejscowego jubileuszu wypełniły występy dzieci z kolonii w Zagórze i Krzeszowie. Na obu koloniach dzieci bardzo aktywnie uczestniczą i pomagają miejscowym leśnikom w zbieraniu zapasów na zimę dla leśnej zwierzyny (żołędzie, szyszki, itp.)

Warto dodać, co zapewne jest ważne dla informacji dla rodziców – kolonie w Zagórze i Krzeszowie cieszą się dobrą opinią miejscowych władz pod względem sanitarnym, organizacyjnym i wychowawczym. To dobrze świadczy o organizatorach letniego wypoczynku także daleko od Krzeszowa – w ZM Ursus”.¹¹



Kolonie letnie w Zagórze Śląskim w 1960 roku były ostatnimi, jakie zorganizowały w tej miejscowości ZM Ursus. Jesienią 1960 roku w ramach porozumienia z wrocławskimi zakładami „Archimedes” nastąpiła wymiana ośrodków. Wrocławskie zakłady przekazały „Ursusowi” ośrodek w Szarocinie a w zamian pozyskały w Zagórze Śląskim. Być może nie była to zbyt korzystna wymiana dla „Ursusa”, bo ośrodek w Szarocinie należało nie tylko adoptować na potrzeby kolonijne, ale także w sporej części wyremontować. Wtedy dla „Ursusa” zaletą Szarocina była tylko możliwość zwiększenia ilości uczestników

¹⁰ WOP – Wojska Ochrony Pogranicza

¹¹ Gazeta zakładowa ZM Ursus – „Głos Ursusa” wydanie z sierpnia 1960 roku, art. „Po słońce, wodę i powietrze”.

kolonii, co wówczas było ważne, gdyż każde dodatkowe 50 miejsc (100 na dwóch turnusach) w zasadzie pokrywało zapotrzebowanie „Ursusa” na miejsca w ośrodkach kolonijnych.

Pierwszy turnus w nowym ośrodku w Szarocinie pow. Kamienna Góra miał pojawić się pod koniec czerwca 1961 roku. W swojej historii ośrodek w Szarocinie przez blisko 30 lat swojej działalności – ostatni turnus odbył się w 1987 roku, był obok Popowa jednym z najbardziej lubianych i nielubianych przez Ursusiaków ośrodkiem kolonijnym.¹² Również prawie co roku był ośrodkiem wczasów zimowych dla pracowników, jak i ursuskich harcerzy, którzy wielokrotnie organizowali zimowiska i obozy szkoleniowe.¹³ Choć, jak można zobaczyć w dalszej części niniejszego opracowania, gdzie są wypowiedzi dawnych uczestników kolonii – tych nielubiących była i chyba jest zdecydowana mniejszość.

Po zdrowie, słońce



1. Dnia 27.VII. br. ponad 350 dzieci wyjechało II turnus kolonijny do Krzeszowa i Szarocin moment wyjazdu z Ursusa.
2. Za chwilę dzieci zajmą miejsca w wagonach a za kilka godzin — znajdą się na miejscu. Tymczasem — do zobaczenia!
3. I już w drodze... Zdjęcie to wykonaliśmy pociąg mijając dworzec Warszawa Zachodni

Głos Ursusa - 1961

¹² Szarocin - po drugiej wojnie światowej posiadłość została znacjonalizowana. Dawną rezydencję początkowo wykorzystywało gospodarstwo rolne, a następnie urządzono w niej ośrodek kolonijny zakładów „Ursus” z Warszawy. Ośrodek działał do 1989 r., kiedy to pałac przekazano władzom samorządowym Kamienniej Góry, źródło: <https://www.palaceslaska.pl/index.php/indexs-alfabetyczny/s/1470-szarocin>

¹³ Pierwszy raz w Szarocinie byli ursuscy harcerze zimą 1961/62. Potem średnio, co 3-4 lata ponownie korzystali z ośrodka niemal do połowy lat 80-tych, Źródło: Wydawnictwo – Harcerstwo w warszawskim Ursusie w latach 1933-70, praca zbiorowa, Warszawa 2023, zbiory MBC.

Niestety, Szarocin nie posiadał w pobliżu basenu, jaki był w Zagórzcu, ale za to oferował kolonistom mnóstwo innych atrakcji. Przede wszystkim rozległy teren wokół budynków, spory sad owocowy, ciekawy park pałacowy z fontanną i ciekawe, okoliczne tereny. W początkach lat 60-tych pełne tajemnic, które stały się kanwą rozlicznych, niesamowitych, trochę z pogranicza horroru opowieści kolonistów. Oczywiście z Białą Damą, złym piwowarem, który ważył nocami piwo na kolonijnej stołówce, powstałej w starym browarze w hali warzelni. Właściwie każdy budynek na terenie kolonii był owiany jakąś tajemnicą. Pałac, w którym mieszkały dziewczynki miał Białą Damę czasami nazywaną przez kolonistów – Makową panienką. Dawna szkoła - budynek, w którym mieszkali chłopcy graniczący z sadem miał duchy dawnych uczniów i nauczycieli błakających się nocą po korytarzach. Budynek administracyjny, w którym mieszkał kierownik



kolonii i była izolatka już z racji swoich funkcji nie zachęcał do odwiedzin. Ciekawa była dawna powozownia i stajnia, która pełniła rolę dużej świetlicy. Domek ogrodnika pomiędzy powozownią a starym browarem, też miał swoje

tajemnice. Ile było prawdy w tych opowieściach, trudno dzisiaj dociec. Być może były stworzone po to, aby dzieci nie włóczyły się po nocy po terenie. Tak czy inaczej odnosiły skutek, bo nocne wyprawy kolonistów były tylko dla najodważniejszych i pozostały na długo w pamięci dawnych uczestników letnich wyjazdów do Szarocina.



Kolonie letnie w Szarocinie, lata 60-te

Ze zbiorów prywatnych Krystyny Skolniak

Okolice ośrodka obfitowały w możliwość odbycia wielu atrakcyjnych wycieczek. Jedną z nich był pobliski Leszczyniec z fabryką porcelany elektrotechnicznej „Polam”, której sztandarowym produktem były izolatory. Każdy z uczestników wycieczek dostawał na pamiątkę białe, lśniące izolatory, które oczywiście lądowały w walizkach i tym samym pojawiały się w niejednym domu w Ursusie. Obok elektrotechnicznych gadżetów niejeden kolonista wracał z pokaźnym woreczkiem różnych kamieni, jako pamiątek po eksploracji pobliskich strumieni czy kamieniołomów dolomitu. Największą jednak atrakcją Leszczyńca była poczta, sklep i boisko miejscowego LZS-u¹⁴, na którym rozgrywano mecze piłki nożnej pomiędzy koloniami Ursus a miejscowym LZS-em. Trudno powiedzieć, czy to przez grzeczność obu stron, ale zanotowane wyniki spotkań piłkarskich, przeważnie kończyły się remisem. A może z powodu wysokiego wyszkolenia sportowego? Sporo atrakcji zapewniały co tygodniowe odwiedziny w miejscowej Sali Ośrodka Kultury, w którym wyświetlano filmy przywiezione przez kino objazdowe. Liczne szlaki turystyczne zachęcały do odwiedzenia Kowar, Karpacza. W programie pobytu na koloniach były także wycieczki wyjazdowe autokarem czy pociągiem do fabryki dywanów w Kowarach, do Kamiennej Góry, Bolkowa i in.

¹⁴ LZS – Ludowe Zespoły Sportowe, kluby sportowe działające na wsiach i małych miejscowościach.

miejsowości. Szkoda, że nie zachowały się do dzisiejszego dnia prowadzone skrupulatnie Kroniki kolonijne, bo zapewne dostarczyłyby nie tylko cennych informacji, ale i sporej porcji fotogramów ilustrujących życie kolonijne Ursusiaków. I zapewne ciekawych informacji o licznych przygodach, nieraz związanych z miejscowymi legendami i duchami.



Kolonie letnie w Szarocinie, lata 60-te

Ze zbiorów prywatnych Krystyny Skolniak

Ze względu na dużą odległość od Ursusa, dość męczącą całonocną podróż pociągiem, kolonie w Szarocinie były przeznaczone dla starszych dzieci w wieku od 11 do 14 lat. Młodsze korzystały z ośrodka w Popowie, a w latach 70-tych z wielu innych współorganizowanych przez ZM Ursus i inne warszawskie zakłady pracy.¹⁵ Tylko w 1976 roku z kolonii skorzystało blisko 1 900 Ursusiaków, z czego połowa w ośrodkach innych zakładów. Również na koloniach zagranicznych w Czechosłowacji (ośrodek „Jitrenka” w górach niedaleko miejscowości Zdar na Morawach), Niemieckiej Republice Demokratycznej (kolonie w Usedom nad Bałtykiem).

Pod koniec lat 80-tych bogata oferta kolonijna, głównie ze względów finansowych zaczęła się drastycznie kurczyć. Zamykano poszczególne obiekty kolonijne, ograniczano liczbę turnusów, by w początkach lat 90-tych definitywnie zaprzestać organizację kolonii. Również działalność socjalna w organizacji wczasów dla pracowników stawała się coraz bardziej problematyczna i część ośrodków

¹⁵ ZM Ursus przy organizacji kolonii letnich w latach 70-tych współpracowały z PLL „LOT”, Domami Towarowymi „Centrum”, Zakładami Włókienniczymi „Chemitex”, ZM im. Strzelczyka w Łodzi, Przedsiębiorstwem Budownictwa Morskiego w Gdańsku, Zakładami im. Róży Luksemburg w Warszawie, Zakładami Traktorów w Brnie (Czechosłowacja), Zakładami Traktorów w Schoenebeck (NRD), i innymi.

kolonijnych, wczasowych zaczęto prywatyzować. Wiele z tych prywatyzacji zakończyło się tragicznie m.in. dla ośrodka kolonijno-wczasowego w Popowie. Dzisiaj jest już tylko wspomnieniem zachowanym na pożółkłych fotografiach.

Kolonie we wspomnieniach Ursusiaków po latach

Przedstawione poniżej wypowiedzi Ursusiaków - byłych kolonistów, pozyskane zostały na różnych tzw. forach społecznościowych i za ich zgodą do publikacji zostały udostępnione do niniejszego opracowania. Głównie pozyskanych na jednym z forów Facebooka – „Od Ursusa do Ursusa”, na którym publikowane są stare fotografie związane z Ursusem, jak także wypowiedzi publikujących lub oglądających. Niektóre zostały nieco zmodyfikowane, aby były bardziej czytelne nie tylko dla byłych uczestników, ale także dla współczesnego, młodego czytelnika, który nie był nigdy na koloniach, a chce poznać – czym były dawne letnie wyjazdy i dlaczego są ciągle wspominane, jako niezapomniane i niepowtarzalne.



Gwizd parowozu – zaczynamy kolonie

Większość byłych kolonistów dość często wspomina i pamięta nieraz ze szczegółami przejazd z pod Domu Kultury ZM Ursus przy Traktorzystów na Dworzec Główny przy Towarowej w Warszawie, gdzie dalej odbywali podróż pociągiem do Ośrodka Kolonijnego w Zagórzcu Śląskim, Krzeszowie, Szarocinie. Być może wielu zapisało się to dość dobrze w pamięci, gdyż dla wielu często był to pierwszy wyjazd na kolonie pociągiem, w dodatku trwający kilkanaście godzin (490 km). Przejazd z Dw. Głównego do Szarocina, a dokładnie do Leszczyńca, w

którym była stacja kolejowa, trwał minimum 12-14 godzin. Praktycznie całą noc od godziny 19 wieczorem do 7-8 rano. Co ciekawe i dzisiaj w 2026 roku pokonanie dystansu pociągiem z Warszawy do np. Kamiennej Góry oddalonej od Szarocina ok. 10 km trwa niewiele krócej, bo ok. 9 godzin w dodatku z dwoma przesiadkami.¹⁶



Stefan S. wspomina – podróż pociągiem, to była cała wyprawa. Wydawać by się mogło, że spędzenie w pociągu 14-16 godzin, to będzie katonga. Wcale nie, właściwie już od wyruszenia pociągu z Głównego stale się coś działo. Za oknem wagonu i przedziale. Każdy chciał siedzieć przy oknie, a było tylko jedno, bo na korytarz nie wolno nam było wychodzić, a tam było drugie okno.

Można było wychodzić tylko za potrzebą, albo po kawę z ogromnego termosu, który stał w korytarzu. Kombinowaliśmy i wychodziliśmy a to po kawę a to do WC. Gdzieś tak koło Skierniewic sytuacja w przedziale stabilizowała się i zajęliśmy się opowiadaniem o sobie. Jak zapadła noc, to pomału każdy z nas układał się do snu na otwieranych leżankach, które wcześniej były oparciami pod plecy. Pamiętam jak obudził mnie specyficznym zapachem przejazd koło



Głos Ursusa 1974

Zakładów Koksoowniczych „Wałbrzych”. Akurat wysypywali rozżarzony, czerwony od ognia koks z pieca. Ogromna ściana ognia, która sprawiała wrażenie, jakby za

¹⁶ <https://www.google.com/maps/dir/Warszawa/Kamienna+Góra>

chwilę miała wpaść pod pociąg. Do dziś mam w pamięci ten widok, który wtedy w kilkunastoletnim chłopcu robił ogromne wrażenie. Ciemna noc i ta ściana ognia. Pamiętam jak później jechaliśmy z Kamiennej Góry przez tunel i ten śmieszny, mały parowozik, który z mozołem ciągnął nasze wagony do Leszczyńca, a za oknem niesamowite widoki gór.



Równie miło wspomina podróż pociągiem Maria W. Z tamtych podróży zapamiętała przetaczanie wagonów we Wrocławiu i Wałbrzychu. Początkowo nie mogłam zrozumieć, dlaczego wracamy na dworzec we Wrocławiu, jak przed chwilą wyjechaliśmy z niego. Czegoś zapomnieliśmy? Gdy podobna sytuacja powtórzyła się w Wałbrzychu to już wiedziałam, że wagony są rozdzielane, przetaczane i przyłączane do innych pociągów. Uświadomiła mnie koleżanka, który już drugi raz jechała do Szarocina. Od razu stała się moją koleżanką, bo dobrze mieć za kumpla doświadczonego kolonistę. Szczególnie, jak jedzie się w nieznane miejsce pierwszy raz. Widok z okien pociągu okolic Szarocina oczarował mnie od pierwszego spojrzenia. Liczne zakręty, wiadukty, nasypy. Nie mogłam odkleić oczu od szyby. I ten zapach pary, dymu z parowozu, jak w tym wierszu – para buch, koła w ruch.... Oj, kręci się łezka w oku, oj kręci.

Ciekawie w pamięci zapisała się podróż pociągiem Elżbiecie S. Jechaliśmy do Szarocina w takich trochę, jak dla mnie dziwnych wagonach PKP. Otwierało się w przedziale na środku ściany taką drewnianą półkę i się na tym spało. Tym samym z przedziału osobowego tworzył się jakby kuszetykowy. Nie ważne, że twardo, ale

było fajnie. Pamiętam, że jak już w każdym przedziale stworzono warunki do spania, to chodził kierownik po wagonie i w każdym przedziale liczył czy jest 10 dzieci. Zaglądał do przedziału i na głos liczył: 3, 5, 10. Przechodził do następnego przedziału i znowu liczył. Potem dostał przezwisko 3,5,10. Czasami mu się nie zgadzało, bo w przedziale była nad drzwiami wejściowymi dodatkowa skrytka na bagaż, do której zawsze wślizgnęła się jakaś drobna dziewczyna i udawała, że jej nie ma. My mówiłyśmy, że nas nie było w przedziale 10 tylko 9, ale on nam nie wierzył. Wołał wychowawcę i sprawa się wydawała. Następnym razem, zanim wszedł do przedziału to mocno stukał w tą skrytkę nad drzwiami. Jak już wracaliśmy do Warszawy to z utęsknieniem wyglądaliśmy naszego – 3,5,10, ale był już inny, który też dostał ksywkę – 3, 5, 10.



Kolonie w Szarocinie - 1975

Z kolekcji własnej Sławomir Moch

Iwona K. z podróży na kolonie do Szarocina zapamiętała przyjazdy i odjazdy ze stacji w Leszczyńcu. Jak wysiadaliśmy z pociągu to formowaliśmy się w grupy. Walizki, torby wrzucaliśmy na pakę ciężarówki, która wiozła je do ośrodka, a my, jak jaka elita wielkopańska spacerkiem z buta szliśmy ze stacji do budynków kolonii. Daleko nie było, może z 1,5 kilometra, ale dystans pokonywaliśmy szybko, aby być jak najszybciej na stołówce, bo kiszki marsza grały, a zabrane z domu kanapki skończyły się jeszcze w pociągu, zaraz po północy. Oczywiście, jak doszliśmy do ośrodka nie od razu wpadaliśmy na stołówkę. Najpierw trzeba było wtaszczyć walizy do pokoi. Pamiętam, że tego pierwszego dnia zjadłam 3 talerze zupy. Koleżanki patrzyły na mnie trochę jakby ze strachem, że jestem

taka żarta, ale na kolejnych obiadach wystarczał mi już jeden talerz. Czasami nawet nie jadłam zupy, co budziło ponowne zdziwienie u koleżanek.

Przejazdy do Szarocina były uciążliwe dla dzieci. Pod koniec lat 70-tych zaczęto dowozić dzieci fabrycznymi autokarami, które były w dyspozycji Oddziału PTTK Ursus. Teoretycznie przejazd był i krótszy i bezpieczniejszy, ale i tak dla wielu kolonistów była to niekończąca się wyprawa. W pamięci wielu uczestników zachowała się postać jednego z bardziej lubianych kierowców powszechnie przezywanego „Faja” z racji palenia fajki. Podczas prowadzenia nie palił, ale trzymał w zębach swoją ulubioną fajkę. Marek K. wspomina: za moich czasów jeździło się z Panem Bogdanem "Fają" autokarem SETRA. Ci którzy go znali i lubili chcieli jechać w długą podróż tylko z nim, bo zawsze było wesoło i miło. Było w nim coś, co sprawiało, że człowiek podczas podróży czuł się bezpiecznie. Pamiętam, jak na parkingu pod DK w Ursusie, z którego wyjeżdżały kolonijne autobusy odbywały się istne wojny, szczególnie pomiędzy rodzicami, którzy chcieli, aby ich dziecko jechało właśnie autokarem kierowanym przez „Faję”. Czasami nie były to zbyt parlamentarne rozmowy. Dzieci na swój sposób też „tupały nóżkami”, że chcą jechać z „Fają”. Ot, z kolonii pozostały mi takie dziwne wspomnienia, ale z parkingu w Ursusie. Nie pamiętam jak było z powrotami, pewnie spokojniej, jak w Ursusie.



Kolonista z Ursusa to jest ważny gość

Wojciech W. w swojej wypowiedzi i wspomnieniach o koloniach skoncentrował się na może nieco wzniosłych wypowiedziach, ale niepozbawionych racji. My

koloniści z Ursusa byliśmy w latach 50-tych i 60-tych, jakby pionierami ziem odzyskanych. Jako kolonistom, nie straszna nam była zawierucha i deszcze, a szczególnie te ostatnie. Pamiętam, że średnio przez połowę kolonii, a byłem na nich kilka razy, padał deszcz. To my koloniści dbając o wnętrza ratowaliśmy w imieniu zakładów Szarocin. Wspólnie uratowaliśmy kompleks przed dalszą dewastacją. W pałacu sporo detali, stiuków na sufitach i ścianach zachowało się do dziś. Zachowany układ sal w pałacu, ich wielkość zawsze na nas robiła wrażenie. Cieszę się, że dzięki temu, że w Szarocinie były kolonie udało się uratować pałac. A swoją drogą owa zachowana autentyczność sal pozwalała nam chłopakom straszyć dziewczyny, które w nim mieszkały – Białą damą. Początkowo śmiały się z nas, że opowiadamy brednie, ale jak zobaczyły w „zieloną noc” ducha, to już zawsze nam wierzyły. Szkoda, że tylko przez dwa dni, po „zielonej nocy”, ale i to nas cieszyło.



Szarocin 1977

Ursusiak na koloniach nie zapominał, że jest z Ursusa. A w Ursusie pierogi z borówkami jadało się na co dzień. Greta O. zapamiętała jak z koleżankami zbierały namiętnie borówki w okolicznych lasach. Niemal codziennie zawsze znalazły czas, aby ubierać kubeczek borówek i podrzucić paniom kucharkom do kuchni, aby zrobiły dla nich pierogi z borówkami. Muszę powiedzieć, że w życiu nie zjadłam w ciągu trzech tygodni tyle pierogów, co Szarocinie. Pod koniec kolonii o nasze żołądki zaczęły się martwić i kucharki, ale jakoś obeszło się bez choroby. Właściwie do dziś czuje ich smak, choć upłynęło już sporo dziesiąt lat.

Kulinarnie i smakowo zapamiętała Szarocin Joanna K. Pamiętam podwieczorki. Najczęściej rarytasów nie było, ale już sam świeżutki chleb z dżemem był przysmakiem. Bywały i słodkie bułki a czasami batonik Prince-Polo z jabłkiem. Może to nie były frykasy, ale dla nas liczyło się towarzystwo. Większość rodziców moich koleżanek z klasy pracowała w ZM Ursus, więc zawsze uezierała się zgrana paczka na wyjazd na ten sam kolonijny turnus. Można powiedzieć, że nasza zgrana paczka nie dawała sobie w kaszę dmuchać.



Szarocin 1977

Atrakcją były paczki ze słodyczami przysyłane przez rodziców i dziadków pocztą. Paczki i listy rozdawane były na apelu. Do tej pory pamiętam tę radość i dumę jak wracałam z paczką do szeregu. Nie było wtedy jeszcze mody na – kochani rodzice, przyslijcie kochane pieniążki. Zresztą w Szarocinie nie bardzo było na co wydać pieniążki, chyba, że na wycieczkę, gdzieś w Kowarach, Karpaczu na pamiątki. Pamiętam, że były nieciekawe i bardzo drogie, więc liczyło się złotóweczki i na głupotki nie wydawało, ale trudno było sobie odmówić lizaka ze sklepu.

Marta M. nie zносиła mlecznych zup na śniadanie. Przed wyjazdem ubłagała mamę, aby w karcie wyjazdowej napisała, że córka jest uczulona na mleko, choć naprawdę nie była. Po przyjeździe, podobnie jak kilkoro innych dzieci nie dostawała mlecznej zupy tylko zwiększoną porcję bułek, chleba. Pamiętam – wspomina – jak mi strasznie koleżanki zazdrościły tej specjalnej „diety”. Potem,

jak wyjeżdżałam w następnych latach na kolonie, zawsze miałam wpisane w karcie – nie toleruje mleka, ale jak były kanapki z żółtym serem zawsze stałam po dokładki. Kucharki pewnie się kapnęły, że coś z tym tolerowaniem mleka jest nie tak, ale nie wyspały mnie.

Co prawda Tomek S. nie ma zbyt wielu wspomnień kulinarnych, ale w pamięci zapisała się mu nocna warta przy fladze na placu apelowym.



Obok naszej kolonii rozbił się jakiś obóz. Zwyczajem kolonistów było podbieranie nocą flagi z sąsiedniego obozu. Nam Ursusiakom udało się obcym zwinąć ich flagę, ale za to musieliśmy niczym Zawisza pilnować swojej. Zadanie trudne i odpowiedzialne. Najgorsze były noce, bo to i spać się chce i nic nie widać. Nasza grupa miała dwuosobowe posterunki po dwie godziny. Chcąc sobie skrócić czas, przedstawialiśmy zegarek, co dwie godziny do przodu o 15 minut. Może i wszystko byłoby fajnie, ale wydały się to nasze machlojki, jak ostatnia zmiana dała sygnał do pobudki kolonii, ale o godzinę wcześniej. Chryja była straszna, a my za karę całą grupą musieliśmy przez godzinę skakać żabką od pałacu do stołówki. W dół jeszcze jak cię mogę, ale do góry już było gorzej. Straszna kara dla młodych ludzi? Nie. Do dziś pamiętam tą wściekłą twarz kierownika kolonii i to zgrzytanie zębami wszystkich dziewczyn, które obiecały zemstę podczas „zielonej nocy” za tą naszą wcześniejszą „pobudkę. Za ten widok, warto było skakać żabką.

Zawsze mówi się, że to chłopcy na koloniach byli tymi urwisami, ale czy na pewno? Oto Magda S. opowiada: Pamiętam ten Szarocin, jak żadne inne kolonie. Otóż w tym, że Szarocinie, na placu apelowym, przed pałacem odbywały się codzienne kolonijne apele. Początkowo były one dla mnie nieznośne i uciążliwe, bo... był pewien kolega z Ursusa, którego ja za bardzo a nawet wcale nie znałam.



Przywalał się do mnie dość nachalnie, znaczy podrywał niby i robił mi wstyd, ówczesnej chyba dziesięciolatce. No i po kilku dniach, byłam już tak zdeglustowana tymi końskimi zalotami, że odwróciłam tego kolegę do mnie tyłem i wykręcając mu rękę wcisnęłam mu moje kolanko w plecy, po czym pociągnęłam go dość do siebie gwałtownie... i coś trzasnęło kurcze koledze, ale na szczęście uszczerbku na zdrowiu fizycznym nie doznał i miałam spokój, ale na dywanie u dyra wylądowałam i gdyby Szarocin był tak bliżej Ursusa to moje kolonie zakończyłyby się zbyt wcześnie. Następnie na tych samych koloniach wracaliśmy z grupą z wycieczki do pobliskiego miasteczka - pewnie to był sam Szarocin, ale nie pamiętam, tak dobrze, jednak doskonale pamiętam, że zagadałyśmy się z koleżanką i jakimś cudem odłączyłyśmy się od grupy, która skręciła w inną drogę niżli nasza i też była straszna chryja, a mnie to zagubienie śniło się po nocach całymi latami - tak to była duża trauma. Nie wywalili mnie z kolonii, bo w sumie nie była to nasza wina tylko ciutkę jednak opiekunów, ale na sam koniec kolonii była olimpiada kolonijna i jak siekłam na odległość piłeczką palantową to nie mogli jej znaleźć i złoty olimpijski medal zrekompensował moje winy i wracałam

do domu z medalem na szyi. Widziałam zazdrość wielu, ale szłam dumnie, wszak mistrz olimpijski to nie było kto, a że kolonijnej olimpiady, to już nie istotne. Jeszcze jednym kolonijnym wyczynem mogę się pochwalić. Nauczyłam kolonistów piosenki – A ja mam psa

A ja mam psa, a ja mam psa,

Przyniosłam go z podwórza.

A ja mam psa, małego psa,

Dla niego jestem duża.¹⁷

Piosenkę śpiewali wszyscy, szczególnie, jak szliśmy przez las. Wilki chcieliśmy odstraszyć?



Dzisiaj DPS Szarocin, kiedyś Ośrodek Kolonijny ZM Ursus, mat. DPS

Wycieczki, to jest dopiero frajda

Wielu byłych kolonistów opowiada, że nie lubiło pieszych wycieczek, szczególnie po górach. Męczące i żadnych fajnych wrażeń. Ursusiaki jednak na brak wrażeń na górskich wycieczkach narzekać nie mogli. Stefan S. opowiada: Wybraliśmy się na wycieczkę autokarem do Karpacza. W planie było „zdobycie” szczytu Śnieżki. Nie powiem, nie było zbyt męczące, bo wjechaliśmy niemal na sam szczyt wyciągiem krzesełkowym. Ostatnie 300 metrów weszliśmy pieszo. Podziwiamy widoki i nadchodzi czas powrotu. Wychowawca liczy „orłów” z Ursusa i okazuje się, że dwóch brakuje. Dawaj, szukamy ich i nic. Dopiero jeden z żołnierzy co pilnowali granicy powiedział nam, że widział takich dwóch, jak zeszli do czeskiego schroniska i zjechali wyciągiem, ale po czeskiej stronie. Akcja była szybka i skuteczna. Dwaj „uciekiniery” pojawili się za dwie godziny z powrotem w asyście czeskich żołnierzy. Naszą ekipę do wyciągu po polskiej stronie odprowadzało

¹⁷ Piosenka – A ja mam psa, była śpiewana przez zespół harcerski „Gawęda” na przełomie lat 70-tych i 80-tych.

dwóch żołnierzy. Pewnie, żebyśmy nie zmylili drogi? Ale fajnie było, bo wszyscy, którzy nas mijali i widzieli z żołnierzami jakby zazdrościli i mówili, że my to jakaś specjalna, wojskowa kolonia.

Podczas kolejnej kolonii znowu była wycieczka na Śnieżkę, ale szlakiem. Tak się zapędziliśmy, że nie wiadomo było, kiedy przekroczymy granicę. I znowu chryja, tłumaczenie, wyjaśnienia. Jak nic szykowaliśmy się na karny powrót przed czasem do Ursusa, ale jakoś rozmyło się po kościach. Do dziś pamiętam ten swój pierwszy „zagraniczny” wyjazd.



DPS Szarocin - 2006, foto ze zbiorów własnych Stefan Sobczak

Mariola K. zapamiętała z Szarocina wycieczki do fabryki dywanów w Kowarach i zakłady porcelitu w Leszczyńcu. Do dziś pamiętam – wspomina – ten zapach wełny w fabryce w Kowarach i te kolorowe tkane dywany. Hałas był straszny, ale warto było zobaczyć. Na pamiątkę każda z nas dostała kłębek wełny dywanowej, podobno pozostały one po tkaniu dywanów dla jakiego króla. Nie pamiętam jakiego, ale dla króla i to było najważniejsze. A z zakładów porcelitu pamiętam, jak lepiłyśmy z białej glinki kubki, a potem były wypalane. Niestety, coś poszło nie tak i pękły w czasie wypalania, pozostawało nam tylko zadowolić się białymi izolatorami używanymi na słupach z liniami telefonicznymi.

Iza B opowiada: Do tej pory, a minęło jakieś dziesięć lat moja mama trzyma listy, które pisałam z siostrą z kolonii, a w nich wielkie żale - Mamo, tato,

przyjedźcie po mnie. Tu jest strasznie, a gdzieś pod koniec listu – ale nie damy się wytrwamy, tylko przyślijcie nam pieniądze, bo za mało wzięliśmy z Ursusa. I za dwa dni, na apelu kierownik wręczał nam oczekiwany przekaz. Kolonie stawały się na nowo cudowne i jakże ciekawe, pełne wrażeń. Gdy wracałyśmy do domu, to ostatniego dnia ryczałyśmy jak bobry, że to już koniec, a było tak fajnie. Ale jeszcze tego samego lata jechałyśmy na drugie kolonie, już nie Ursusa a z zakładu mamy. Ech, tak było przez kilka lat z rzędu, a co zobaczyłam, a co przeżyłam, to już tylko moje.



DPS Szarocin - 2006, foto ze zbiorów własnych Stefan Sobczak

Zakamary, skrytki kolonistów

We wspomnieniach byłych kolonistów dość często wspominany jest park za pałacem, adoptowany częściowo m. in. na bosko do siatkówki. Jednak nie boisko najbardziej ciekawiło kolonistów, a park z urokliwą fontanną, strumyczek a nad nim bujna roślinność. Szczególnie ta o dużych liściach i łodygach pustych w środku idealnie nadających się na rurki do dmuchania – dmuchawki owocami jarzębiny czy czarnego bzu. Ewa K. wspomina: obok fontanny było boisko do siatkówki dalej było drewniane WC "rodzinne". Nie wiem, ale właśnie koło drewniaka były najlepsze rośliny a z nich najlepsze rurki. Każda z nas miała po kilka takich rurek i całe kieszenie jarzębinowej „amunicji”. Potyczki na dmuchawki z chłopcami były dość często. Czasami na otwartym polu, ale najczęściej najwięcej radości dawały te strzały z zaskoczenia, gdzieś z ukrycia.

Oj, a ile razy zamiast dmuchnąć w rurce w owoc jarzębiny to się go wciągało i nie pozostawało nic innego jak połknąć. Jakoś nikomu to nie zaszkodziło. Były całe gangi dmuchaczy, które w każdej wolnej chwili okładało się kulkami. Strzelało się i do innych celów ruchomych, ale ze zmiennym powodzeniem. Nie powiem, czasami bolało, szczególnie jak strzał był z bliska.



Jednym z ulubionych zajęć wielu kolonistów, szczególnie wśród chłopców było wyszukiwanie ciekawych kamieni w przypałowym strumyku. Okolice Kowar do dziś dnia są bogate w różnego rodzaju minerały. Okoliczne kamieniołomy, kopalnie odkrywkowe wraz z wodami kopalnianymi wpuszczają do okolicznych potoków i strumieni resztki skamielin, czasami półszlachetnych. W okolicach Szarocina w miejscowych strumykach dość często znajdowały się kamienie bogate z miką, która w wodzie przybierała złoty lub srebrny kolor. Super zimna woda nie była przeszkodą, podobnie jak i inne „atrakcje”. Wojtek P. tak wspomina swoje „geologiczne penetracje”: Do dziś ciarki mi po plecach przechodzą, kiedy wspominam kąpiele w pobliskim strumyku. Siarczanka, jak ją nazywaliśmy, bo pełno w niej było kawałków siarki, która trafiała do rzeczki z pobliskich zakładów wzbogacania i przetwarzania siarki w Ogorzelcu (niestety po kąpieli połowa grupy dostała wrzodów na całym ciele - to był niestety takie eko w tamtych czasach). Ale o dziwo, gdy się brodziło po strumyku po kolana w poszukiwaniu skarbów, żadna cholera człowieka nie brała.

Marek S.: no sporo łaziliśmy po potoku, bo tam sporo było miki, w wodzie świeciła jak srebro, złoto. Zbieraliśmy te kamienie, licząc, że być może wśród nich będzie jakiś samorodek z kopalni złota w Złotoryi, ale gdzie była kopalnia a gdzie Szarocin. Jakby nie patrzeć, to z kolonii w Szarocinie przywiozłem wór kamieni, moja mama załamała ręce mówiąc: synu, po co ci te szmule? Odpowiedziałem krótko – potrzebne, bo będę geologiem, a to materiał badawczy. Nie zostałem geologiem, ale jeden, niewielki kawałek dolomitu mam do dziś.



Zielone noce

Ostatnie dni kolonii były dla uczestników zawsze najtrudniejszym czasem. Świadomość, że oto za 2-3 dni wróci się do domu, że trzeba rozstać się z fajnymi kumplami, że nie będzie można pobałaganić w swoim tajemnym miejscu i znowu będzie ta podwórkowa nuda, odbierały radość i uśmiech beztroski. Była jednak w tym czasie wyczekiwania na ostatni dzień kolonii jedna z największych atrakcji. Tzw. Zielona noc. Czasami była to ostatnia lub przedostatnia noc przed wyjazdem. Noc pełna psikusów, żartów, przebierańców, podczas której koloniści szaleli najczęściej w piżamach po całym terenie odwiedzając miejsca, które normalnie podczas pobytu raczej nie były dla nich przewidziane. Chłopcy wpadali do dziewczęcych sypialni i szukali swoich „ofiar” by wysmarować je pastą do zębów. Dziewczęta nie były grzeczniejsze i psociły na swój sposób malując chłopców nie tylko pastą do zębów, ale i do butów. Robienie totalnego bałaganu w sypialniach było nieodłączne przy „najazdach” sal. Często w zabawach

uczestniczyli sami wychowawcy, podpowiadając pomysły lub stając się ofiarami psikusów.

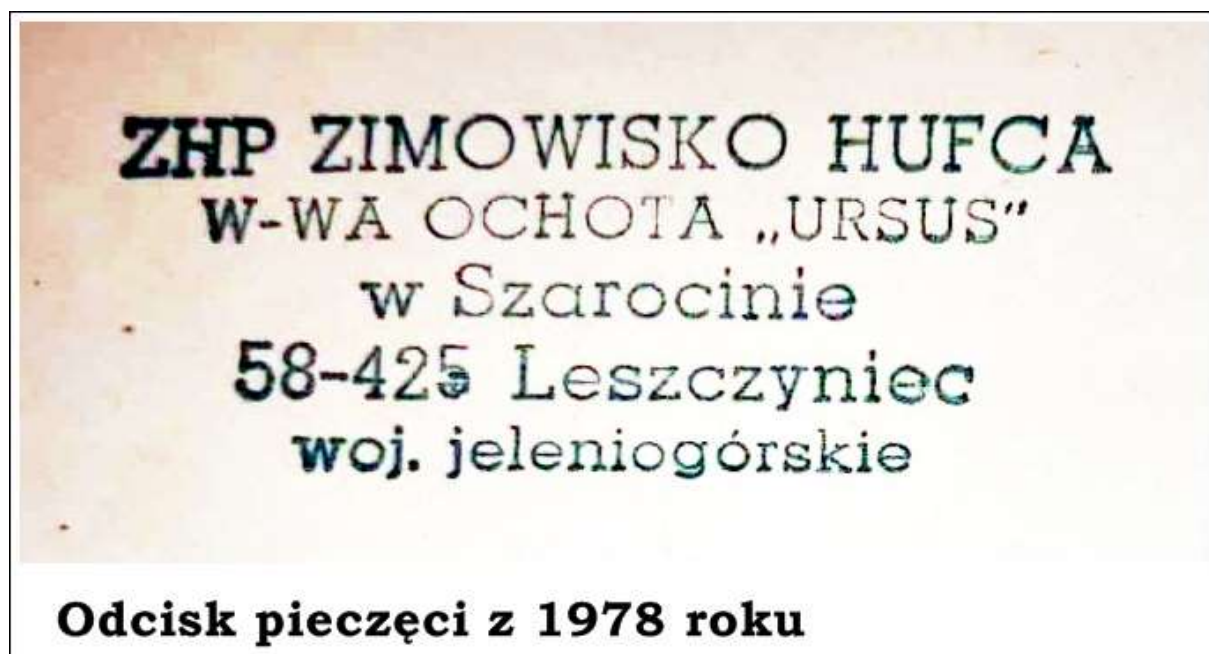
Stefan S. wspomina – oj był na naszych koloniach pewien nauczyciel ze szkoły w Ursusie. Nie był zbyt przez nas lubiany, m. in. za wprowadzanie dyscypliny i ciągłe liczenie nas w grupie. Miedzy nami miał przezwisko 5,10,15. Podczas „zielonej nocy” wysmarowaliśmy pastą do zębów jego drzwi napisem – 5,10,15. Później był taki program młodzieżowy w telewizji pod takim samym tytułem. Ilekroć zobaczyłem czołówkę programu, zawsze przypominały mi się kolonie w Szarocinie.



Ula S. zapamiętała zielone noce, jako czas zmywania kolonijnych brudów z kolonistów. Pamiętam, że woda to była nasza „broń” na chłopaków. Stawiałyśmy kubeczki z wodą za drzwiami, jak tylko wpadali do naszej sypialni, to dyżurne dziewczyny nie żałowały wody, oj nie żałowały. Potem takiego mokrego delikwenta smarowałyśmy mydłem i pastą do butów. Rano, podczas porannego apelu już z daleka było widać, który był u nas w nocy. Twarz miał czerwoną od szorowania, a i tak wszystkiego nie udało mu się zmyć.

Ciekawe wspomnienia zachowały się pamięci Teresy K. Właściwie kolonie zapamiętałam, jako czas okropnej nudy. Tylko to ciągłe opalanie się pod Łysunią. Wszystko na zegarek i ta okropna dyscyplina. Jednak „zielona noc” rekompensowała mi całe nudne kolonie. Wstępował we mnie jakiś „diabeł” i szalałam na całego wymyślając najprzeróżniejsze figle. A to wrzucaliśmy chłopakom ich suszącą się na poręczy łóżek bieliznę do pobliskiego strumyka. Oj, musieli się namęczyć, żeby wyłapać wszystkie swoje gatki w dość rwącym i piekielnie zimnym strumieniu. Potem podczas porannego apelu zgadywaliśmy,

który przyszedł bez gatek, bo do rana to raczej one nie wyschły. Do grzecznych raczej nie należałam, ale na ostatnim apelu dostałam książkę od kierownictwa z wpisem – za duży wkład w życie towarzyskie grupy. Do tej pory zastanawiam się, czym sobie zasłużyłam na taki laur. Mimo, że nie przepadałam za koloniami, to z chęcią, dla tych zielonych nocy, cofnęła bym się w czasie.



Co pamiętam z kolonii?

Czas kolonii zapisał się w pamięci wielu byłych uczestników często, jako pojedyncze sceny sytuacyjne. Często oderwane od innych, ale zapewne dla wielu młodych ludzi stanowiły one pewne przeżycie, mówiąc może nieco kolokwialnie, zawierające pewien ładunek emocjonalny, a przez trwale zapisany w pamięci. Ewa K. zapamiętała swoje kolonie w Szarocinie, jako czas cudownych zabaw, wypraw z grupą po łakocie do sklepu w Leszczyncu i szczepienia przeciwko Oспе czarnej.¹⁸ Co prawda główne ognisko epidemii było daleko od Szarocina, bo we Wrocławiu, ale ze względów bezpieczeństwa, organizatorzy kolonii postanowili przedłużyć dzieciom pobyt na koloniach o jeden tydzień. Nie trzeba mówić, z jaką radością przyjęliśmy tą informację. Trochę jednak smuciliśmy się, jak tam sobie radzą rodzice w czasie epidemii, ale tylko troszkę. Wiedzieliśmy, że na pewno są mocni i dają sobie świetnie radę ze straszną chorobą. Pamiętam, jak to wszystko dokładnie spisywałam w książce pamiątkowej grupy, bo byłam kronikarzem. Szkoda, że nie zachowały się te nasze kroniki. Dzisiaj pewnie byłyby wspaniałą pamiątką i lekturą.

¹⁸ Epidemia ospy prawdziwej (czarnej) we Wrocławiu – ostatnia w Polsce i jedna z ostatnich w Europie epidemia ospy prawdziwej, która wybuchła latem 1963 roku we Wrocławiu. Chorobę przywłóknął do Polski w maju 1963 wracający z Indii jeden z pracowników SB. Pierwszą śmiertelną ofiarą była pielęgniarka, córka salowej, która miała styczność z zakażonym. Stan epidemii ogłoszono 17 lipca, odwołano go 19 września. Zachorowało 99 osób (najwięcej było pracowników służby zdrowia), z których siedem zmarło, w tym cztery to lekarze i pielęgniarki. Najmłodszy pacjent miał 5 miesięcy, najstarszy zaś 83 lata. Miasto zostało na kilka tygodni sparaliżowane i odcięte od reszty kraju kordonem sanitarnym.

Ula S. zapamiętała kolonie, jako czas emocji sportowych związanych z Mistrzostwami Świata w piłce nożnej w 1974 rozgrywanych w Niemczech. Były to mistrzostwa, w których reprezentacja Polski doszła aż do półfinału i miała spore szanse zagrać w finale. W tamtym czasie właściwie cała Polska mówiła o jednym – o piłce nożnej. Powstawały piosenki, fankluby. Gdy były transmitowane mecze z udziałem reprezentacji, ulice dosłownie wyludniały się. Podobnie było na koloniach w Szarocinie. Pamiętam – wspomina – na świetlicy w starej powozowni mecze oglądali wszyscy, dosłownie wszyscy łącznie z kucharkami, dozorcą. I ten niesamowity wrzask, gdy nasi strzelili bramkę, aż ciarki przechodziły po plecach. Wiedziałam, co to znaczy kibicowanie i ten wybuch emocji. Ech, nigdy potem nie miałam takiej radości z oglądania piłki nożnej, choć fanem jestem do dziś.

Na koloniach byłem w 1969 roku – wspomina Włodzimierz W. Akurat wtedy w lipcu była misja kosmiczna, której celem było pierwsze lądowanie człowieka na księżycu.¹⁹ To było prawdziwe wydarzenie, nas kolonistów najbardziej jednak cieszyła możliwość spędzenia całej nocy na świetlicy przed telewizorem. Jak były przerwy w transmisji to wychodziliśmy na zewnątrz i szaleliśmy, choć wychowawcy kazali nam siedzieć i zajmować się grami planszowymi. A potem ta radość, że nie musimy wstawać na poranną gimnastykę i że można sobie pospać dłużej. Strasznie nie lubiłem tej porannej gimnastyki. Kombinowałem jak mogłem, aby tylko nie pojawić się na niej.

Za naszym budynkiem, gdzie mieszkali chłopcy (dawną szkołą) – wspomina Jacek G. - był dawny dość rozległy sad owocowy. Codziennie, grupa dyżurna, która miała dyżur na kolonii na stołówce, przy bramie wjazdowej w ramach obowiązków zbierała w tym sadzie jabłka i inne owoce na kompot dla kolonistów. Była to jedna z przyjemniejszych „akcji”, bo można było się najeść jabłek, gruszek do woli. Potem popić nieprzegotowaną wodą i heca z brzuszkiem gotowa. Nie powiem, i mnie się to przytrafiło, że wylądowałem na izolatce, ale tylko na kilka godzin. Od tamtej pory pamiętam, że nie wolno po gruszkach popijać nieprzegotowaną, surową wodą. Jak widać, na koloniach można było się sporo nauczyć.

Monika C.: Byłam na zimowisku w Szarocinie. Zachwyciły mnie duże sale, plafony na suficie i ogólna dbałość kierownictwa obiektu o zachowanie jak największej ilości oryginalnych detali okien, drzwi, boazerii, itd. Czasami czułam się jak dawna właścicielka pałacu otoczona tylko ładnymi rzeczami. Sam kompleks pałacowy też robił na mnie wrażenie.

Ukryte walory zakładowych kolonii?

Kolonie obok zorganizowania czasu wolnego młodym Urusiakom w czasie wakacji miały jeszcze kilka innych korzyści. Po pierwsze pozwalały dzieciom z Ursusa

¹⁹ Apollo 11 – misja kosmiczna, której głównym celem było pierwsze lądowanie człowieka na Księżycu. Lądowanie nastąpiło 20 lipca 1969 roku o godzinie 22 wg czasu warszawskiego. Pierwszy krok Neila Armstronga: 21 lipca 1969 r., godzina 03:56.

poznać swoich rówieśników z innej szkoły, klasy, części miasta. Zawsze po koloniach spotykały się w swoim gronie i wspominały wspólnie spędzony czas, oczywiście tylko ten „grzeczny”, czyli psikusy i nie zawsze będących w zgodzie z regulaminem kolonii. To w pewnym sensie integrowało lokalną społeczność. Ursus stawał się jakby mniejszy, bardziej przyjazny i znajomy. Ludzie na ulicach byli mniej anonimowi, a przez to jakby bardziej uśmiechnięci i życzliwi. Dla wielu młodych nie było miejsc nieznanymi, gdyż zawsze był jakiś znajomy z kolonii, który jak trzeba było stanął w obronie – kumpla z Szarocina czy Krzeszowa. Wiele z tych kolonijnych znajomości przetrwało próbę czasu i było podtrzymywanych przez lata.

Zawarte podczas kolonii znajomości często procentowały także w szkole. Nieznajomy sprzed wakacji, który wyglądał na groźnego, po wakacjach był już fajnym kumplem ze starszej klasy. Również dziewczynki będąc na koloniach nabierały nowego animuszu i odwagi, nie mówiąc, że często po koloniach, jak mówili rodzice stawały się z dziećmi pannicami.

Inną zaletą kolonii było ukazanie dzieciom czegoś nowego, rozwinięcie zainteresowań muzycznych, artystycznych czy krajoznawczych. Także kolonie to nie była tylko katorga i męka dla dzieci, jak próbują to przedstawiać przeciwnicy kolonii.

Oprac. dla Ursuvianów – Włodzimierz Winek – 2026

